

W polskich szwalniach panuje strach

14 stycznia 2020

O przerażającej codzienności mobbingu i zaniżonych płac w polskim przemyśle odzieżowym i o tym, dlaczego szwaczki się nie buntują portal „Strajk” rozmawia z Grażyną Latos, która razem z Fundacją Kupuj Odpowiedzialnie pracuje nad zbadaniem i opisaniem sytuacji pracowników polskich szwalni.



– Bangladesz wcale nie jest daleko – tych słów użyłaś, pisząc o sytuacji polskich szwaczek na Ofeminin.pl. Bangladesz to praca po kilkanaście godzin dziennie, za bardzo niską stawkę, w budynkach urągających wszelkim zasadom bezpieczeństwa. Naprawdę polskie szwalnie nie są wiele lepsze?

– Oczywiście, polskie szwalnie są lepsze. Jeśli chodzi o budynki, jest bez porównania lepiej. Ale jeśli przyjrzeć się sytuacji bliżej, obraz jest szokujący.

– **Najstraszniejsza historia, którą usłyszałaś?**

– Szwaczki zamknięte w zakładzie na kłódkę, albo psy spuszczone na zewnątrz przez właściciela. To wszystko działo

się jeszcze dwie dekady temu. Dziś tak drastyczne historie nie mają już miejsca, ale szwaczki nadal są zmuszane do pracy w nadgodzinach, wyśmiewane i poniżane. Wiele z nich codziennie słyszy, że nic nie potrafią, że gdyby szwalnia została zamknięta, to sobie nie poradzą.

– Kto jest za to odpowiedzialny?

– Wraz z Fundacją Kupuj Odpowiedzialnie jesteśmy w trakcie działań mających na celu rozpoznanie problemu. Z rozmów, które przeprowadziłam ze szwaczkami wynika, że bardzo często to zamawiający, także znane marki odzieżowe, naciskają na właścicieli szwalni, by ceny były jak najniższe. Wiele karygodnych praktyk wydaje się jednak „inicjatywą własną” właścicieli szwalni. Weźmy na przykład sprawę umów i wynagrodzeń. Większość szwaczek, z którymi rozmawiałam ma umowę o pracę i powinny otrzymywać wynagrodzenie godzinowe. Praktyka jest jednak zupełnie inna. Zarobek jest uzależniony od tego, ile i czego uszyją. W dodatku dopóki nie ukończą jednego zlecenia nie wiedzą, jaka jest konkretna stawka. Opowiadały mi, że bywa i tak, że właściciel szwalni obserwuje, jak sprawnie szyją i oblicza, ile może im zapłacić, żeby mimo wszystko jak najwięcej zarobić. Potem szwaczki porównują swoje miesięczne zarobki i okazuje się, że np. z każdym kolejnym miesiącem za szycie niemal takich samych żakietów dostają coraz mniej, nawet jeśli szyją coraz więcej i sprawniej. Jeśli odważą się zapytać, dlaczego tak się dzieje, słyszą wymówki: „Kiedyś dołożyłem, teraz musi się wyrównać”, „Wtedy źle obliczyłem”.

– Dlaczego więc nie odchodzą?

– Moje rozmówczynie miały różne powody, by zaciskać zęby i mimo wszystko codziennie chodzić do pracy. Niektóre miały dzieci na utrzymaniu, były samotne matki, innym brakowało niewiele do emerytury. Były przekonane, że jeśli stracą tę pracę, to nie znajdą żadnej innej. Jeszcze inne czuły, że przejście do innej szwalni nic im nie da, bo warunki pracy i

nastawienie przełożonych wszędzie jest mniej więcej podobne. Rezygnowały te, które potrafią uszyć całą sztukę, mają wykształcenie krawieckie albo się tego nauczyły. To dało im szansę, żeby założyć własny warsztat. Żadna nie żałowała zmiany pracy. Natomiast większość szwaczek szyje tylko częściowo, co znacząco ogranicza ich możliwości, żeby coś zmienić. I to nie jest tylko tak, że one same zaniedbały możliwość zdobycia, poszerzania kwalifikacji. Często im się ten rozwój utrudnia.

– Jak to wygląda?

– Właściciele szwalni są w stanie im obiecywać, że umożliwią im szycie na różnych maszynach, zdobywanie nowych umiejętności. Potem jednak przekonują się, że dana osoba jest już bardzo biegła w obsłudze jednej maszyny, pracuje bardzo szybko. Im się wtedy bardziej opłaca, żeby ona już na tej maszynie została, niż by nauczyła się obsługi kolejnej i się rozwijała. Inny scenariusz – szwaczka pracuje codziennie w czasie ponadwymiarowym, więc może zapomnieć o kursach, szkoleniach. Jedna z moich rozmówczyń, bardzo zdeterminowana, po prostu oszukiwała szefową. Mówiła, że musi chodzić na rehabilitację i dzięki temu ukończyła kurs. To jej pomogło w ostatecznym rozrachunku odejść ze szwalni i zostać krawcową. Ale to przecież nie jest żadne rozwiązanie na większą skalę. Wiele szwaczek zresztą nawet nie myśli o tym, że może być inaczej. Są przerażone i skupione tylko na tym, by przetrwać. Szwalnie są pełne strachu.

– Nie mają nikąd wsparcia? Gdzie są związki zawodowe?

– Działających związków zawodowych w tym sektorze praktycznie nie ma. Nie ma „Solidarności”, OPZZ działa tylko w kilku fabrykach produkujących odzież. Inicjatywa Pracownicza i Związek Zawodowy Pracowników Ukraińskich w Polsce nie posiadają żadnych kontaktów w przemyśle odzieżowym.

– Właśnie, skoro już o pracownikach z Ukrainy mowa... Jak na

pracę w szwalniach wpłynął przyjazd migrantek? W wielu branżach pracodawcy wykorzystują to, że Ukraińcy są gotowi ciężko pracować za niższą stawkę, bo to i tak większe pieniądze niż to, co zarobiliby w ojczyźnie. W tej również?

– Udało mi się porozmawiać tylko z jedną Ukrainką, która pracuje w szwalni w Opolu. Miała takie same problemy jak Polki plus dodatkowe: językowy. Ta kobieta podpisała umowę, nie rozumiejąc, co było w niej napisane. Praktycznie wszystkie moje rozmówczynie mówiły, że pracy dla szwaczek nadal jest dużo. To dlatego w związku z migracją do Polski niewiele się w szwalniach zmieniło. Jak zauważały, coraz mniej młodych kobiet decyduje się na taką drogę zawodową, szkoły krawieckie są zamykane. W urzędach pracy ciągle są oferty pracy dla szwaczek.

– To jeśli ręk do pracy brakuje, dlaczego pracodawcy nie szanują tych, które chcą pracować?!

– Jakież zmiany na lepsze zachodzą, jednak bardzo, bardzo powoli. Kiedyś szwaczki w ogóle nie pozwoliłyby sobie na zapytanie pracodawcy, dlaczego ich stawki maleją. Starsze pracownice opowiadają, że kiedyś wylatywało się z tej pracy za jedną odmowę wykonania dodatkowej pracy, czy nawet za pytanie: dlaczego tak?

– To naprawdę bardzo mała zmiana, skoro wspominałaś, że w odpowiedzi na takie pytania pracownice najczęściej słyszą wykręty i mało wiarygodne tłumaczenia. Skoro związki zawodowe nie działają, to czy same kobiety nie próbowały się organizować?

– Nie. Większość z nich woli zaciskać zęby i jakoś przetrwać. Strach jest silniejszy. W niektórych szwalniach zdarzały się bunty. Kiedy np. przez dwa miesiące z rzędu nie dostały wynagrodzenia, odmówiły dalszej pracy. Inny przypadek – w jednej ze szwalni ze względu na łamanie praw pracownic jedna z zatrudnionych zaalarmowała Inspekcję Pracy. Jak powiedziała mi

moja rozmówczyni, PIP faktycznie przysłała kontrolę, nałożyła na szwalnię karę, ale właściciel szwalni potrafił sobie te pieniądze z wypłat pracownic. W ostatecznym rozrachunku to one ucierpiały. A ponieważ szwaczki znają się między zakładami, rozmawiają, opowiadają sobie różne historie, to i ta rozeszła się w środowisku i zniechęciła kolejne odważne. Kiedy kontaktowałam się ze szwaczkami, proponowałam rozmowę i mówiłam o pisaniu tekstów, bardzo często słyszałam: ale to nic nie da! I tak nic się nie zmieni! Większość nie chciała ze mną rozmawiać nawet wtedy, kiedy zastrzegłam, że nie ujawnię żadnych danych.

– Nawet wtedy się bały?

– Mówiły: sądzi pani, że nie da się ustalić, kto co powiedział? Spotkałam tylko dwie szwaczki, które zgodziły się rozmawiać pod nazwiskiem. Paradoksem jest, że wiele szwaczek, kształcąc się i rozpoczynając aktywność zawodową, wie, co może je spotkać. Są rodziny, gdzie w szwalniach pracuje matka i córka, albo siostry. Pani Barbara, jedna z tych dwóch kobiet, które zgodziły się podać imię i nazwisko, jest córką szwaczki. Od dzieciństwa słyszała opowiadania swojej mamy i jej koleżanek, które rozmawiały o tym, z jakimi problemami się stykają. A jednak weszła na tę drogę.

– Strach i niewiara w możliwość solidarnej walki sprawia, że pracodawcy nigdy się nie zmieniają.

– Już teraz branża odzieżowa jest jedyną, w której na przestrzeni lat nie było żadnych zauważalnych podwyżek pensji. W tej chwili w umowach szwaczek zapisane jest wynagrodzenie minimalne, ale w praktyce bywa tak, jak opowiadała mi jedna z kobiet: szyła pięć dni w tygodniu po 12 godzin, dostawała nieco ponad trzy tysiące. Mogło być lepiej, np. wtedy, gdy szyły kożuchy, udawało się przy tak wytężonej pracy przez miesiąc-dwa wypracować pięć tysięcy. Ale mogło być też gorzej. Znam historie, w których pracodawca przedstawia szwaczkom swoje własne wyliczenia, takie, których one nawet nie do końca

rozumieją, z których „niezbicie wynika”, że należy im się jeszcze poniżej minimalnej. Inna rozmówczyni opowiedziała, jak szefowa wyrejestrowała wszystkie pracownice z ZUS-u na jakiś czas, żeby „odpocząć” od płacenia składek. A przecież szwalnia nadal działała, a każdy miesiąc bez rejestracji odbija się na późniejszej emeryturze.

– Urlopów też się nie respektuje? A co z pracownicami w ciąży, opiekującymi się małymi dziećmi?

– Kobieta, o której wynagrodzeniu wspomniałam, nie była na urlopie przez sześć lat. Często szwaczki zmusza się, żeby podpisały wniosek o urlop bezpłatny, gdy tak naprawdę chorują. Na szczęście nie jest tak we wszystkich szwalniach. Z drugiej strony to praca, która wyniszcza. Bywa, że szwaczki noszą ciężkie przedmioty, pracują w gorącej hali, w lecie bez klimatyzacji, przy słabym oświetleniu. Nawet wyjścia do toalety są im limitowane. W niektórych zakładach pracownice są non stop obserwowane. Szefowa patrzy na nie na monitorze i potem karci te, które jej zdaniem wychodzą zbyt często. Cięża? Rozmawiałam ze szwaczką, której przedłużono umowę dokładnie do dnia urodzenia dziecka. Zaoferowano jej, by wróciła za jakiś czas, bo pracodawca był z niej bardzo zadowolony.

– Uderza mnie to, że rozmawiamy o bardzo sfeminizowanej branży. Szwaczki, krawcowe, właścicielki szwalni – w zawodach związanych z odzieżą kobiet jest bardzo dużo. Tyle słyszeliśmy o siostrzeństwie, o wspólnej walce o swoje prawa, a tutaj... kobieta krzywdzi kobietę?

– Niestety kiedy słuchałam opowieści szwaczek, miałam poczucie, że tu solidarność właściwie w ogóle się nie zdarza. Same rozmówczynie się na to skarżyły.

– Relacje na rynku pracy ją zabijają?

– Można odnieść takie wrażenie. Są piękne przykłady wzajemnego wsparcia, udzielania sobie pomocy, ale tych przygnębiających historii jest więcej. Także dotyczących relacji między

pracownicami. O tym, jak starsze koleżanki wysyłają młodszą, żeby rozmawiała z szefem, bo ona jeszcze nie wie, że taka rozmowa się źle skończy. Ta świadomość, że nie ma solidarności, a równocześnie, że trzeba wykarmić własne dzieci, ostatecznie zniechęca do buntowania się. Każda robi swoje, troszczy się, żeby dostać swoją wypłatę. Nie martwi się o to, że koleżanka została źle potraktowana czy doznała przemocy. Ta, która jest silniejsza, postawi się szefowej, obroni się – ale wtedy to inna, słabsza, usłyszy, że do niczego się nie nadaje, albo że szyje za mało, bo chce okraść pracodawcę.

– Czy usłyszałaś od swoich rozmówczyń jakąkolwiek krzepiącą historię, z dobrym zakończeniem, dającą chociaż trochę nadziei?

– Może powinnam tu wspomnieć o pani Barbarze, jednej z tych dwóch szwaczek, które zgodziły się ujawnić imię i nazwisko, bardzo odważnej kobiecie. Pamiętam, jak wahała się, myślała, czy nie wystąpić pod nazwiskiem panińskim. Ale w trakcie naszych rozmów stawała się coraz silniejsza. Ostatecznie do mnie napisała, że mogę podać pełne personalia, bo to nie ona ma się czego wstydzić, tylko ludzie, którzy ją źle traktowali. To był chyba najbardziej budujący moment.

– Niemniej pani Barbara ostatecznie odeszła ze szwalni.

– Tak. Obecnie razem z koleżanką prowadzi własny zakład. Po publikacji mojego tekstu dostałam kilka listów od szwaczek-czytelniczek. Napisały, że ich doświadczenie jest podobne. One też miały już dość i odeszły ze szwalni. Żadna nie pisała o tym, że udało się coś zmienić w miejscu pracy.

Z Grażyną Latos rozmawiała Małgorzata Kulbaczewska-Figat

Zdjęcie: [VirginiePount](#) (CC0)

Źródło: [Strajk.eu](#)